



Przełożyła Olga Bartosiewicz

Jak oni nas widzą

Ileż to już minęło *ab illo tempore*, kiedy po raz pierwszy usłyszałem swój głos nagrany na taśmę magnetofonu szpulowego chowanego w walizce! Poczułem się wówczas bardzo nieswojo. Ten głos dobiegający z zewnątrz zupełnie się różnił od tego „z mojej głowy”, który znałem od zawsze. Głos nieprzyjemnie mnie zaskoczył, trudno mi było zaakceptować, że należał do mnie. Był to głos obcy, nieco antypatyczny, a jednocześnie wzbudzający zainteresowanie. Czy tak rzeczywiście brzmi mój głos, czy z magnetofonu wydobywał się zniekształcony dźwięk? Przypomniałem sobie tamtą chwilę całkiem niedawno, gdy podczas lektury dwóch książek o Rumunach napisanych przez polskich autorów przeżyłem coś bardzo podobnego. W istocie dylemat pozostaje ten sam – czy my rzeczywiście tacy jesteśmy?

Bogumił Luft (ur. 1955)¹ jest dziennikarzem, komentatorem politycznym i dyplomata. Przemierzył sporą część świata, towarzysząc w podróżach Janowi Pawłowi II, samą Rumunię zaś zna od trzydziestu lat. I nie tyle ją zna, ile – jak sam przyznaje w rozdziale otwierającym książkę – uznaje za swoją drugą ojczyznę. Zgodnie z protokołem powinniśmy zwracać się do niego per „Wasza Ekscelencjo”, ponieważ w latach 1993–1999 był ambasadorem Polski w Rumunii, w latach 2010–2012 zaś – w Republice Mołdawii. Stosowanie protokołu wydaje mi się tu jednak przesadą, gdyż dzięki małżeństwu z Rumunką Aną Marią Luft (która zresztą przetłumaczyła recenzowaną książkę na rumuński) autor zaczął obracać się w kręgu krewnych i przyjaciół z Rumunii. Jest więc „jednym z nas” i pozwolimy sobie pisać o nim „Bogumił Luft”. Dodajmy jeszcze jeden szczegół – zarówno jako dyplomata, jak i jako dziennikarz oraz komentator, brał on udział we wszystkich ważnych wydarzeniach po obu stronach Prutu, dlatego mamy gwarancję, że jego wiedza

¹ B. Luft, *României în goana după happy-end*, tłum. A.M. Luft, Iași 2015.

nie opiera się jedynie na pogłoskach. W *Przedmowie dla czytelnika rumuńskiego* autor zaznacza, że napisał tę książkę dla Polaków. „Ale mimo to (...) może okazać się użyteczna także dla Rumunów”, dodaje.

Tak, już na samym początku muszę przyznać, że również ja, jako Rumun, dowiedziałem się z tej książki wiele o tym, co się u nas działo. Mało tego, dowiedziałem się dużo o nas samych, gdyż pewne szczegóły i aspekty są możliwe do wychwycenia jedynie z zewnątrz. Natomiast po lekturze ostatniej strony poczułem się lepiej i utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że wcale nie jesteśmy tak beznadziejni, jak postrzega nas świat. A to dlatego, że wszystkie opowieści i komentarze tego subtelного i wnikliwego obserwatora stają w obronie idei, której istotą jest przekonanie, że Rumuni, podobnie jak każdy naród, dążą do happy endu, tylko że w rzeczywistości ten end nie istnieje, a happy ukazują się jedynie w rzadkich okresach łaski Historii.

Ważne jest jednak to, w jaki sposób ta „pogoń za happy endem” przejawia się w danym narodzie. Jak wynika z wizji Lufta, pod tym względem jesteśmy narodem bardziej „dziwacznym”, „egzotycznym” i południowym – innym niż naród z „pochmurnej Polski”, ale w żadnym wypadku nie bezwartościowym. Kiedy w 1993 roku autor zostaje mianowany ambasadorem w Bukareszcie, sam siebie definiuje jako „młodego entuzjastę, który zna Rumunię już nieźle i którego, nie wiedząc czemu, ten kraj fascynuje”. Rzeczywiście nie wiadomo dlaczego, ponieważ Rumunia miała wówczas złą reputację, także w oczach prezydenta Lecha Wałęsy. Nie udzielił on *agrément* Ionowi Iliescu, za którego rządów kraj „ugrzął w marazmie postkomunistycznego bagna”. Bogumiłowi Luftowi dodało jednak otuchy to, że ważny intelektualista Bronisław Geremek, wówczas przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, na przedwyjazdowym spotkaniu zapewnił go, że wyjeżdża „do kraju ważnego dla Polski”. To przypomniało mu zresztą „utopiijną wizję” marszałka Piłsudskiego, dla którego „Wielka Rumunia i Turcja były głównymi sprzymierzeńcami Polski w walce z Rosją”. I tak pozostało do dziś – realistycznie myślący politycy żywią przekonanie, że tutaj, dwa kroki od granicy z Azją, Europa potrzebuje wsparcia dwóch twierdz, względnie jednakowych, jeśli chodzi o wagę i siłę – Polski i Rumunii. Bogumił Luft zauważa jednak pewien paradoks – choć Rumuni „darzą niezwykłą sympatią Polaków”, nie działa to w drugą stronę: „W Polsce [Rumuni] byli konsekwentnie postrzegani jako naród niewiele wart, a nawet nieco niebezpieczny”. Taki wizerunek naszego kraju utrwalił się przez Cyganów zebranych na ulicach polskich miast, a ponieważ pochodzili oni z Rumunii, byli postrzegani jako Rumuni i choć początkowo budzili w Polakach współczucie, to po jakimś czasie stali się nie do zniesienia. Być może książka Lufta zdoła rozprawić się z tymi uprzedzeniami szkodliwymi dla obu stron. Pomóc może w tym próba przywołania przez autora w powściągliwy i przekonujący sposób chwil wzajemnej zgody, których wcale nie było tak mało i których punkt kulminacyjny przypadł na 1939 rok, kiedy Rumuni przyjęli z otwartymi ramionami polskich uchodźców wojennych, wojsko i rząd.

Omawiany esej jest w istocie historią Rumunów *sui generis*, przeznaczoną dla światomego czytelnika, jej najistotniejsze momenty są bowiem przedstawione i objaśnione

z ogromną inwencją, przenikliwością i poczuciem humoru. Albo – innymi słowy – jest to historia narodu łaćńskiego i prawosławnego opowiedziana narodowi słowiańskiemu i katolickiemu. Zainteresowało mnie to, że pierwsze rozdziały są poświęcone dzisiejszej Besarabii. Zaslужują one na oddzielny komentarz. Podróż w tamte strony jest długa, „bo ten kraj jest daleko”. Autor przekracza Prut pociągami nazwanymi ironicznie Orient Expressem, który pokonuje pięćset kilometrów dzielących Bukareszt od Jass w czternaście godzin, a dziewięćdziesiąt kilometrów pozostałych do Kiszyniowa przemierza w trzy godziny, co stanowi „ukoronowanie podróży do innego świata”. Świata możliwego do przewidzenia już po wagonach z ery sowieckiej i po wystroju wagonu restauracyjnego, w którym można znaleźć „(...) towarzystwo dżentelmenów w dresowych spodniach i rozchełstanych kolorowych koszulkach, zza których wycierają złote łańcuchy na owłosionych klatkach piersiowych. Już to po rosyjsku, już to po rumuńsku dyskutują o transgranicznych interesach. Hulaj dusza – piekła nie ma!”. Znamienne, że tych samych ludzi i tę samą atmosferę znalazłem kilka lat później w książkach innego Polaka, Andrzeja Stasiuka – *Jadąc do Babadag* i *Fado*. Tak więc Bogumił Luft nie zmyśla, a jego przenikliwość i zmysł analityczny mogą okazać się przydatne świadomemu rumuńskiemu czytelnikowi, gdyż odsłaniają przed nim ryzyko i absurdy związane z podołaniem biedzie, korupcji i chaosowi etniczemu, które stanowią nieuniknioną konsekwencję ewentualnego zjednoczenia z „braćmi zza Prutu”. Czy razem z Besarabią, czy bez niej, Rumunia jawi się jako skomplikowany topos, bogaty w niecodzienne sytuacje, szczęśliwe bądź dramatyczne, niektóre wyjątkowe na skalę światową. I tak, do tych wyjątkowych sytuacji możemy zaliczyć sukces utworzenia w XIX wieku „zjednoczonego państwa, które od tamtej pory już nigdy nie zniknęło z mapy Europy” (podkr. – R.C.), jak również Wielkie Zjednoczenie z 1918 roku. Nieszczęścia to: rumuński faszyzm, rozbicie Wielkiej Rumunii w 1940 roku oraz komunizm, który doprowadził do „nienotowanej w innych krajach obozu komunistycznego (...) fizycznej eksterminacji przedwojennej elity” (podkr. – R.C.).

Bez precedensu było także wiele innych sytuacji – chociażby to, co wydarzyło się w Pitești (i nie tylko). Podczas II wojny światowej Rumunia dopuściła się „zenującego” zaangażowania militarnego, ale w ostatnich latach konfliktu była jednym z najważniejszych sojuszników armii sowieckiej podczas finalnej ofensywy na Berlin, kończąc paradoksalnie jako zwycięzca zobowiązany do wypłacenia wygórowanych odszkodowań wojennych. Wszystkie te najistotniejsze momenty rumuńskiej historii zostały przedstawione przez Bogumiła Lufta z godną podziwu wyrazistością, analityczną precyzją i zwięzłością: Rumunia, ta „łaćńska wyspa na Wschodzie”, która wstępowała w wiek XIX stopniowo, choć zdecydowanie, pod wpływami francusko-niemieckimi, „została zbudowana z niemiecką solidnością przez króla Karola I”. Kropka. Albo jego opis pojawienia się faszyzmu: po I wojnie światowej „korupcja na każdym szczeblu administracji państwowej sięgnęła zenitu. Bogacze Bukaresztu bawili się beztrosko, choć z perspektywy czasu można to uznać za bal na Titaniku. I wtedy pojawił się faszyzm. (...) Faszyzm rumuński żywił się z początku protestem ludzi młodych – myślących i błądzących po omacku – przeciw demoralizacji i arogancji elity rządzącej w Rumunii upojonej historycznym sukcesem Wielkiego Zjednoczenia”.

Znamienite postaci są namalowane przy pomocy zwięzłych pociągnięć pędzla, co wpływa na stworzenie przekonującego obrazu, sugerującego jednocześnie emocjonalny stosunek autora do tematu: „Nicolae Iorga, były premier i historyk – jedna z najwybitniejszych postaci międzywojennej Rumunii”; „Antonescu – wbrew powtarzanym do dziś opiniom – nie był bowiem ideowym faszystą, a nawet ideowym antysemitą. Co nie znaczy, że nie był zbrodniarzem, bo patronował straszliwym mordom”; „Nicolae Văcăroiu cechował przede wszystkim brak wyobraźni i przekonania w przedmiocie jakichkolwiek reform”.

Jak widać, autor zgłębia także temat rumuńskiej tranzycji postkomunistycznej, a jako bezpośredni świadek wydarzeń tamtego okresu dokonuje obfitych analiz oraz komentarzy. Niestety zabrakłoby mi miejsca, gdybym chciał opisać wszystkie emocjonujące wątki tej znakomitej książki. Dodam tylko, że tę przeprawę, tak uważnie udokumentowaną i uargumentowaną przez Bogumiła Lufta, przerywa kilka rozdziałów, które stanowią swego rodzaju studia przypadku. Przykładem może być tu rozdział skupiony wokół historii loany Arnăuțoiu, którego celem jest przedstawienie zagranicznemu czytelnikowi oporu antykomunistycznych partyzantów ukrywających się w górach. Albo – i jest to być może najpiękniejszy fragment książki – rozdział, który prezentuje rumuńsko-polską genealogię rodziny Luftów, prawdziwy epicki rdzeń powieści-kroniki rodzinnej, niepodważalny argument przemawiający za możliwością międzynarodowego porozumienia ponad wszelkimi zawiłościami historycznymi.

W zakończeniu autor podkreśla, że „ta książka nie jest obiektywna, bo ja po prostu lubię Rumunów”. Zaraz jednak niuansuje swoje stanowisko: „Nie znaczy to, że nie jest to książka prawdziwa, bo przyjazne uczucia otwierają oczy skuteczniej niż zimny obiektywizm, ubabrany podświadomie w stereotypy, które są formą prawdy dotkniętą ciężkim kalectwem. Rumunów lubię przede wszystkim dlatego, że wciąż rzadko kto ich lubi” (podkr. – R.C.). Myślę, że największą zaletą tego eseju jest właśnie unikanie stereotypów, które trzymają się wyobrażenia o Rumunach jak rzep psiego ogona, oraz wyważony optymizm, z jakim Luft patrzy na naszą przyszłość. Ostatni rozdział nosi tytuł *Post-scriptum* i jest skupiony wokół daty 16 listopada 2014 roku, kiedy prawostawni i w dużej mierze nacjonalistyczni Rumuni wybrali na prezydenta Sasa siedmiogrodzkiego, którego żona jest rumuńską grekokatoliczką. „Mądrość ich wyboru – uważa Bogumił Luft – pozostaje wspaniałym wydarzeniem, bez względu na to, co nastąpi. A co nastąpi? Happy end? Happy end nie istnieje”. Zakończenie, które mogłoby być uznane za pesymistyczne, w rzeczywistości świadczy o niezwyklej przenikliwości autora – przyznaje on bowiem, że obecnie Rumunia łapie wiatr w żagle, a wszelkie okoliczności jej sprzyjają. I – jak zauważa w innym fragmencie – „Polska czuje już jej oddech na plecach”.

*

Małgorzata Rejmer² jest pisarką i reporterką o trzydzieści lat młodszą od Bogumiła Lufta. Należy już do innego świata. Wykształcona i uhoronowana imponującą liczbą

² M. Rejmer, *București. Praf și sânge*, tłum.L. Săvescu, Iași 2014.

nagród oraz wyróżnień, posiada wizję rzeczywistości na miarę naszych czasów – bardziej powierzchowną, pospieszną, pragnącą ogarnąć jak najwięcej i jak najprędzej bez zgłębiania tematu. Ale pisze świetnie, zwięźle, z porywającą stylistyczną wyrazistością. Pod apokaliptycznym tytułem – *Bukareszt. Kurz i krew* – kryją się ambicje stworzenia diachronicznego portretu Bukaresztu, ale również Rumunów, co zresztą autorce w dużym stopniu się udaje. Żyła tutaj przez dwa lata, wydaje się, że tylko po to, by zebrać dokumentację, i zaraziła się dziwną miłością – a raczej fascynacją – do Rumunii. Była szczęśliwa, gdy stąd wyjeżdżała, by już po chwili wyczekać powrotu. Tak jak Bogumił Luft doznaje kluczowych objawień podczas podróży z Bukaresztu do Kiszyniowa, tak Małgorzata Rejmer odkrywa najistotniejsze kwestie podczas piekielnej podróży rumuńskim pociągiem z Timișoary do Bukaresztu: „Gdyby coś takiego przydarzyło mi się w Polsce, pewnie i mnie ogarnęłaby wzmożona nerwowość, ale w Rumunii czuję, jakbym chodziła na szczytach i z niewidzialną lornetką, wszystko wydaje mi się najpierw interesujące, a dopiero potem straszne” (podkr. – R.C.).

Takim mniej więcej kluczem autorka czyta rumuńską rzeczywistość – interesującą, bo egzotyczną, w której malowniczość jest zazwyczaj przytłoczona czymś, co oscyluje między groteską a potwornością. I tak na przykład podczas opisywania epoki komunistycznej, poznanej jedynie ze wspomnień tych, którzy ją bezpośrednio przeżyli, akcent pada na same okropieństwa: aresztowania, tortury (Pitești), nielegalne aborcje, wyburzanie budynków, samobójstwa. Niektóre aspekty są przywoływane za pośrednictwem krótkich tragicznych historii, prywatnych lub rodzinnych, relacjonowanych przez samych zainteresowanych. Atmosfera jest na ogół przygnębiająca, ożywiana zbawieniem tu i ówdzie soczystymi dowcipami z okresu rządów Dębu ze Scornicești³. W żadnym wypadku nie chcę niczego wypominać, ale warto zaobserwować, że autorka, udzielając jednokowego kredytu zaufania wszystkim opowieściom, których wysłuchuje, zlewa w jedno niejednorodny przeciwieństwo świat, z reguły widziany oczami ludzi niewykształconych i pełnych nostalgii za czasami Ceaușescu. Jednak stwierdzenia, którym ciężko dać wiarę, pochodzą także od tych lepiej wyedukowanych. I tak przewodniczka oprowadzająca autorkę po Domu Ludu / Pałacu Parlamentu powiedziała jej, że w czasach budowy tej architektonicznej aberracji zginęły dziesiątki tysięcy (!) ludzi, a większość z nich została pochowana ukradkiem pod betonowymi fundamentami budowli. Otóż – sorry! – pozwolę sobie podać w wątpliwość, jeśli nie istnienie samej przewodniczki, to chociaż wiarygodność tego sensacyjnego „świadczenia”, dobrego na eksport. „Złota epoka” miała bowiem na tyle dużo własnych okropieństw, że nie musimy już dokładać jej nowych, wywodzących się z miejskiego folkloru.

Nierzadko wnioski wyciągane przez Małgorzatę Rejmer na podstawie tego, co zobaczyła czy usłyszała, są formułowane w dwuznacznym tonie i nie wiadomo, czy mają pozytywny, czy negatywny wydźwięk. Oto dziwny przykład Domu Ludu – zafascynowana autorka umieszcza go w kontekście ballady o Mistrzu Manole (a jakżeby inaczej?),

³ Dąb ze Scornicești (iron.) to przezwisko nadane Nicolae Ceaușescu za życia; Scornicești to wioska, z której pochodził polityk (przyp. tłum.).

by ostatecznie odnieść się także do egzekucji Ceaușescu. Niniejszy fragment to prawdziwa sztuka dwuznaczności: „Wielki budowniczy Rumunii stracił życie pod ścianą bloku w Târgoviște, rozstrzelany z pięciu karabinów. Ten, który zawsze stał wyprostowany, padł na kolana i osunął się na ziemię. Mężczyźni z karabinami kontemplowali jego śmierć. Otoczyli go kołem i wpatrywali się w jego znieruchomiłą twarz. Teraz będą mieli pewność, że nikt nigdy nie zbuduje równie okazałego pałacu”.

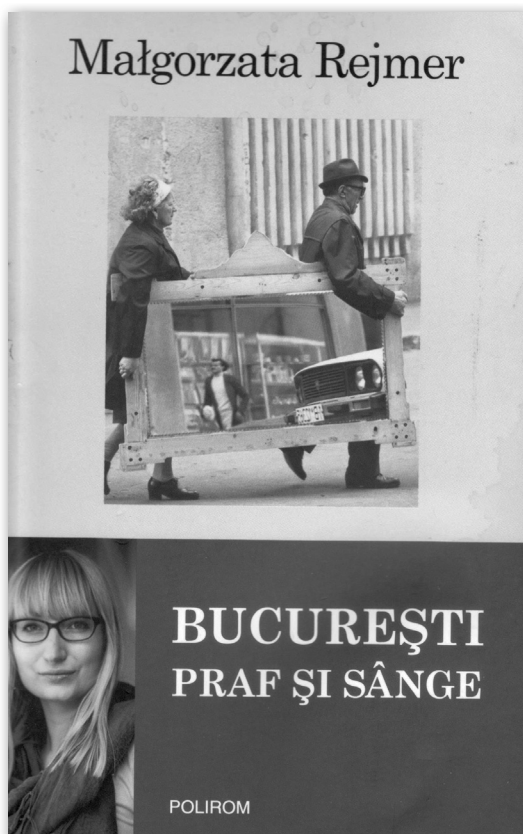
Można by mi współczuć braku poczucia humoru. Ale w przypadku takich wydarzeń nie ma miejsca na humor. Nie ma go też wtedy, kiedy mowa o skutkach I wojny światowej dla rumuńskiej historii, zrelacjonowanych za pomocą tej samej ironicznej dwuznaczności: „Traktaty pokojowe są dla Rumunii długą listą prezentów: Besarabia, północna Bukowina, kawał Dobrudży i Banat. I oto ona! Wielka Rumunia!”. Innymi słowy, „głupi ma zawsze szczęście”! A co potem dzieje się z Wielką Rumunią? „Jeszcze w latach dwudziestych Rumunia śpiewa swą piosnkę chwały donośnym basem. Potem, ochrypla z wściekłości i nienawiści do obcych, będzie już tylko wyc”.

Tak według wizji Małgorzaty Rejmer wygląda nasze „międzywojnie”; wszystko to, co miało w nim jakąkolwiek wartość, zostało pominięte, choć nie zapomniano o dzielnicy „Crucea de Piatră, słynącej z domów publicznych, które w Rumunii noszą nazwę domów tolerancji. W międzywojniu tolerancja rumuńska nie znała granic”. Pomijając to, że podkreślone wyżej wyrażenie nie jest wymysłem rumuńskim, a kalką z języka francuskiego, oraz ignorując inne błędne informacje (1 grudnia jest „Dniem Niepodległości”?, s. 195), należy zauważyć, że Małgorzata Rejmer ze szczególnym upodobaniem odwiedza undergroundowe poziomy badanej rzeczywistości. Stąd też ponure, jeśli nawet nie „obskurne”, zabarwienie niektórych zdań podsumowujących, jak choćby tego o Bukareszcie: „Bukareszt mógł podglądać Paryż, ile chciał, a i tak zachował swoją pokraczną wyjątkowość, bałkańską chaotyczność, wrzaskliwość szyldów, przestrzenną rozlazłość”. Nawet ktoś, kto nie jest walczącym patriotą i nie należy do grupy Rumunów, którzy na uwagę, że mają źle zapięty guzik, reagują od razu oskarżeniem o „oczernianie”, nie może pozostać obojętnym wobec ryzykownych i niesprawiedliwych uogólnień, uzasadnianych pobieżnymi informacjami pochodzącymi ze źródeł ustnych lub naocznych obserwacji: „Rumuńska kultura ludowa, która ma się dobrze nawet w Bukareszcie, jest przesiąknięta wpływami cygańskimi”. Co z „rumuńskiej kultury ludowej” i jak dobrze poznała Małgorzata Rejmer, by podejmować ryzyko formułowania tego typu stwierdzeń? Albo: „Ion Antonescu, rozstrzelany w 1946 roku za zbrodnie wojenne, wciąż uważany jest za bohatera. Ostatniego bohatera Rumunii, jak głoszą napisy na murach”. Zastanawiam się ponownie, ile takich murów widziała autorka...? Można by mi zarzucić, że wyrwam cytaty z kontekstu. Oczywiście, bo jak inaczej mógłbym cytować? Jednak w kontekście lub bez kontekstu stwierdzenie pozostaje stwierdzeniem, jakkolwiek byśmy próbowali go bronić przy pomocy niuansów. Powyższe cytaty, jak i wiele innych, podobnych, pozbawione są niuansów. Nie wiem też, jaki sens ma rozdział (*de facto* bardzo dobry reportaż) poświęcony przypadkowi Claudiu Crulika, młodego Rumuna, który w styczniu 2008 roku umarł w krakowskim szpitalu po tym, jak przeprowadził strajk głodowy w więzieniu. Wydarzenie to mogło rozegrać się

wszędzie i dotyczy raczej polskich systemów więziennictwa i sądownictwa, a nie tematu niniejszej książki.

Oczywiście, tak jak wspominałem na początku mojej notatki, Małgorzacie Rejmer udało się w bardzo osobisty sposób ukazać zagranicznemu czytelnikowi ważne i prawdziwe, choć także bolesne prawdy na temat Rumunów, jak na przykład stwierdzenie, że „Rumuni nie mają zaufania do polityków i nie wiedzą, co zrobić z własną wolnością”. Tak właśnie jest. Niestety dla czytelnika rumuńskiego wszystkie tego typu obserwacje ukrywają się w cieniu błędów rzeczowych, dwuznaczności (najprawdopodobniej zamierzonych), ryzykownych uogólnień *per total* – obserwowania rumuńskiej rzeczywistości przez deformujący pryzmat. W Polsce niniejsza książka była bestsellerem i otrzymała mnóstwo nagród. To naturalne, gdyż potwierdza i legitymizuje antypatię Polaków do Rumunów, rozpoznaną także przez Bogumiła Lufta. Może jednak esej tego autora wprowadzi bardziej wyważony punkt widzenia.

Tymczasem pozostaje nam spytać samych siebie: czy rzeczywiście jesteśmy tacy, jakimi oni nas widzą?





ROMÂNII ÎN GOANA
DUPĂ HAPPY-END



Bogumił
Luft

POLIROM